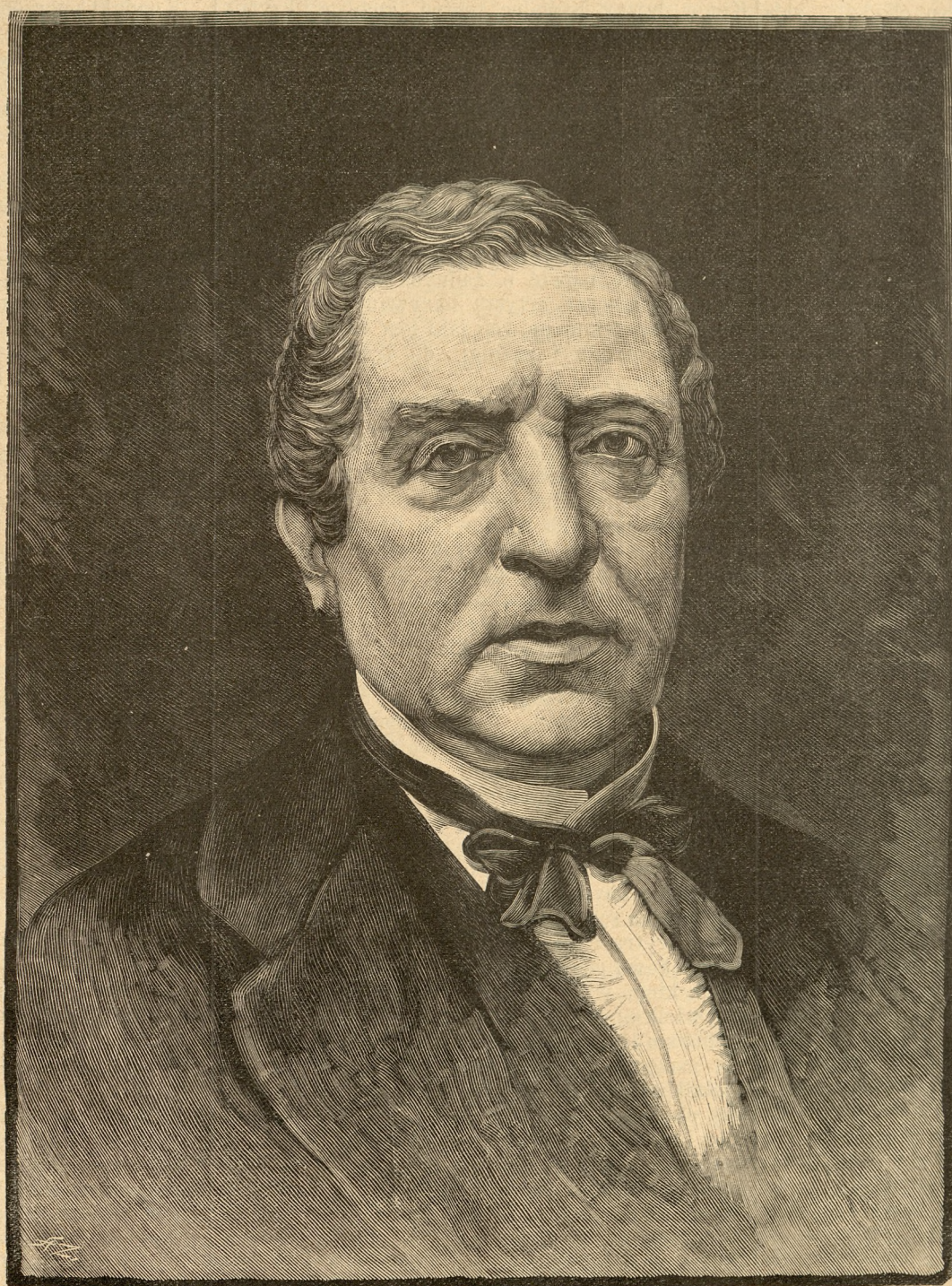


BIUSZKA.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Aloizy Żółkowski.

Ur. d. 4-go Grudnia 1814-go — † d. 25-go Listopada r. 1889-go.

Aloizy Żółkowski.

Rzadki to wypadek, żeby artysta dramatyczny mógł występować jeszcze w siedmdziesiątym roku życia. Scena warszawska postradała właśnie takiego nieustrudzonego bojownika, który nawet siedmdziesiątkę już przekroczył i pierwszego *lustrum* ośmdziesiątki dobiegał. A nie był to jakiś zwyczajny „Utilitäts-Schauspieler“, ale wielki, rdzenny, europejski talent, zdolny obudzić podziw wszędzie, gdziekolwiek by się pokazał; takich jak on, przez ciąg długiego jego zawodu w danym zakresie sztuki zaledwie kilku się pojawiło. Nazwisko jego znano też na obczyźnie, w kraju zaś nie było zakątka, w którymby nie znano scenicznej jego indywidualności. Nie dziwnego, że artysta, tak niezmożonej wytrzymałości i bożego daru, był siłą przyciągającą do sceny warszawskiej, a ulubieńcem publiczności, dowodzącej mu przywiązania nie samemi tylko doraźnemi oklaskami. Prawdziwie, można o tej publiczności powiedzieć, że nie na sztuki, w których grał, ale na niego do teatru chodziła, zajmowała się stanem jego zdrowia, tęskniła do niego po dłuższym niewidzeniu, prosiła losu, aby go jaknajdłużej dla sceny i dla niej samej zachował. A trzeba było sobie tego wszechwładnego a kapryśnego władzcę ustawicznie ujmować, bo już w r. 1884 śmierć wyciągała po ulubieńca rękę i każdy miłośnik teatru czuł, że los, zachowując tak długo Żółkowskiego na scenie, płaci teatrowi polskiemu tylko rentę z łaski i lada chwila odjąć ją może.

I odjął. D. 14 Listopada r. b. wystąpił Żółkowski jako Baron w *Serafinie* Sardou. Nazajutrz napadły go bóle artrytyczne, zbuntowało się ukryte w organizmie cierpienie, dotarło do serca i w d. 25 t. m., o godzinie 9-ej wieczorem, wielki artysta już nie żył. W przerwach choroby marzył jeszcze o nowej roli swojej w *Hypnotyzmie* Fedry syna: tak we krwi swej miał teatr, tak dla teatru i przez teatr tylko żył i w najukochańszej sztuce swojej ześrodkował całą moc wrażliwości, wyobraźni i rozumu, — wytworzył sobie z niej świat całkiem odrębny, a od rzeczywistości, wszystkim wspólnego, droższy. Sztuce oddał duszę całą, ale też wzamian od niej dostał to, co jej znowu duszę stanowi: doskonałość artysty. To przywiązanie Żółkowskiego do teatru i sztuki teatralnej, górujące nad wszystkimi jego uczuciami w życiu, jest nowem stwierdzeniem prawdy, że, jak każda potężna osobistość, każdy czyn potężny, tak i każdy wyższy wytwór sztuki z wielkiej miłości począć się musi. Sztuka czy wiedza wieńczy tylko czoła tych, co ją kochają.

Czy był Żółkowski genialnym? Wyrazu tego hojnie teraz używano i nadużywano. Spotykałeś go ciągle w nekrologach, w doniesieniach pogrzebowych, we wspomnieniach najdrobniejszych z życia, we wzmiankach nawet o tem, za które rogatki nieboszczyk wyjeżdżał lub wychodził, a za które nie. Ale słowo raz wymówione przebrzmieć już nie chciało. Przyjęli je nawet wyżsi arystarchowie, chorujący w interesie własnej wielkości na trzeźwość; wprowadzili tylko rozróżnienie *geniuszu* od *genialności* — jakgdyby bez podkładu geniuszu pojęcie genialności o własnej sile ostać się mogło w logice ludzkiej...

Czy był Żółkowski genialnym, czy wogóle artysta sceniczny, Talma czy Garrick, Kean, Kemble czy Siddons, Davison, Irving, Rachel czy Ristori potrzebują i muszą posiadać siłę twórczą wystarczającą już na pojęcie genialności?

Z literackiej swej przeszłości przypominam sobie żywy spór o genialność aktorów. Było to przed laty kilkunastu, w r. 1874 lub 5, w gronie Redakcyi *Kuryera Warszawskiego*. Wacław Szymanowski, najgorliwszy zwierzchnik i najlepszy kolega, od lat trzech już w grobie. Współpracowników jego czas i życie porozpraszały między rozmaite kierunki i ogniska działalności

dziennikarsko-literackiej. Już-byśmy się dzisiaj wszyscy nie zebrali i nie rozmawiali jak dawniej. Poszło nam wtedy o Żółkowskiego i wytoczył się długi spór o istotę geniuszu. Dowodzą, że geniusz rzuca nowe myśli, otwiera nowe drogi, ludzkość po nich prowadzi, i tak rzucając, otwierając i prowadząc tem właśnie twórczą potęgę swoją objawia; bez twórczości tak pojętej można mówić o zdolnościach, o talencie zresztą, ale nigdy o geniuszu. A jakąż jest twórczość aktora? Wszystko za niego już zrobił poeta, a raczej pisarz dramatyczny — bo do złego tonu literackiego należy dziś mówienie o poezji na scenie. Aktor — dowodzą — jest tylko wykonawcą: niechaj odgadnie myśl autora, wnuknie w jego zamiary, wcieli w siebie jego ideał: a *zrobi* już wszystko, czego od niego krytyka i publiczność wymagać mogą.

Tak dowodzą i rozprawiano. Po kilkunastu latach, gdy konieczność położyła nóż na gardle, gdy zmusiła do wytworzenia syntezy z życia wielkiego artysty i nakazała zamknąć ją w jednym wyrazie, nie znaleziono innego nad „genialność“. Genialnym nazywa Żółkowskiego Władysław Bogusławski w zajmującym wspomnieniu swoim (*Gazeta Polska* Nr. 267 i 8); tego samego określnika używają pp. Kotarbiński i Zalewski; pisze się już na ten wyraz nawet p. Józef Kenig, dawny bywalec teatru, znawca i krytyk sztuk i aktorów, zastrzegając tylko wyraźnie, że co innego jest „geniusz“, a co innego „genialność“.

Jaką ma zasadę nekrologia-krytyka do nazywania Żółkowskiego genialnym? Jeżeli go zaś tak nazywa, to musi wychodzić z założenia, że artysta sceniczny, nietylko *robi* to, co mu każe autor, nie tylko *wygrywa* na scenie to, co ma napisane na papierze, ale i rzeczywiście coś tworzy, bez pojęcia twórczości bowiem nikt-by nie poważył się mówić o żadnych genialnościach. Co zatem tworzy artysta nazywany genialnym? W całości wykonanej roli jaki jest stosunek jego własnego trudu i zasługi, do trudu i zasługi autora?

Pisarz dramatyczny wytwarza tylko idealne kształty charakterów ludzkich; tymczasem sztuka dramatyczna w swem założeniu, istocie i wpływie domaga się kształtów rzeczywistych. Dramat, jeśli ma być rzetelnie odrębnym od innych rodzajów sztuk pięknych myślowych, do takiego urzeczywistniania się zawsze i wszędzie dążyć musi. Tę zaś żąda swoją nasycić może tylko przez wcielenie idealnych kształtów charakteru w osobę fizyczną człowieka. Człowiekiem tym jest aktor, a pracownią zamieniającą ideały sztuki w rzeczywistość zjawisk — teatr. Charakter w utworze literackim jest tylko pomysłem, na scenie dopiero staje się człowiekiem. Artysta sceniczny fizyczną i intelektualną osobistością swoją wchodzi w formę wytworzoną przez poetę, przyobleka się w nią, a raczej bierze ją na siebie, i dla tego dobrze, niekiedy mówimy, iż *podaje rolę*. Najwspanialsze ideały poety przypominają jedynie zakłętą zamki poezji arabskiej lub dwór Popiela z owym niedoświadczonym pocałunkiem, dopóki nie przyjdzie sztuka sceniczna, młodsza córa dramaturgii, i nie wytrąci ze snu tych wszystkich czarów, i wdzięków i gromów, które z siebie duch twórcy literackiego wyprowadził. Są dzieła dramatyczne wielkie przez samą dramatyczność swoją, a pomimo to niedające się na scenie przedstawić: nie możemy dla nich zbudować teatru, bo nie zdołaliśmy dziś jeszcze tak zapanować nad materią, aby im dać ten cały ogrom zewnętrzności natury i życia gromadnego — jakiego się dla siebie domagają. Ale na dnie wszelkiej sztuki dramatycznej, zarówno najwznioślejszej, jak najpospolitszej, leży — teatr. Pożąda go piszący, pożąda go czytelnik. Dotknięcie myśli nie wystarcza: trzeba się dotknąć żywego człowieka, aby też żywe od niego otrzymać wrażenie. Już Goethe uważał teatr za konieczne ujście dla twórczości dramatycznej. Stopień teatralności w danej sztuce daje w ogóle miarę i jej dramatyczności; wyjątki panują tylko na szczytach najwyższych.

(Dokończenie nastąpi).

POGA WĘDKA.

Śmierć Żółkowskiego poruszyła wszystkie warstwy publiczności warszawskiej; widać to było po orszaku pogrzebowym, który zeszłego Czwartku zatłoczył formalnie cały plac teatralny i przylegające doń ulice.

Głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, kilkudziesięcno-tysięczny tłum falował, jak żywe ludzkie morze, na którego powierzchni płynęła powoli, spokojnie metalowa łódka śmierci ze zwłokami nieboszczyka.

Wspaniale, imponująco wydawał się całutki plac teatralny, zwłaszcza z góry widziany; ani jednej piędzi ziemi nie można było dostrzedz w chwili, gdy z największym wysiłkiem przeciwskali się kolledzy i wielbicieli znakomitego artysty z marami na ramionach w tej ostatniej wędrówce tąsamą drogą, którą za życia „pan Aloizy“ zdążył do domu przy rogu Senatorskiej i Bielańskiej do Teatru Rozmaitości.

Cały plac wydawał się wyłożony ruchomą mazaiką, wybrukowany niejako głowami ludzkimi. Kondukt pogrzebowy literalnie płał się w tej zwartej massie.

Była chwila uroczysta i rozrzewniająca, gdy trumnę zatrzymano przed gmachem Teatru Wielkiego i kiedy nastąpiła głucha cisza w tem mrowiu ludzkim; zdawało się, że duch zmarłego mistrza sztuki dramatycznej poraz ostatni żegna się z ukochaną sceną, którą przez tyle lat swym nadzwyczajnym talentem uświetniał.

Zabrzmiały dźwięki żałobnego marsza, osnutego na motywach z „Halki“, trumna drgnęła na ramionach i pochód ruszył w drogę na cmentarz.

Chwili tej jednak milczenia, pełnego jakiejś tajemniczej grozy i powagi, nie zapomnę chyba, póki życia...

Pomimo starań komitetu cały programat pogrzebowy nie dał się wykonać we wszystkich szczegółach, zwłaszcza na cmentarzu, gdzie prawie zwłokom drogę do grobu zagrodzono; musiało się obejść bez śpiewów, gdyż członkowie chóru pogubili się w tłumie i nie mogli na punkt zbiorowy docisnąć.

P. Józef Kotarbiński pożegnał zmarłego słowami żalu i uznania, oddając sprawiedliwość jego wielkiemu, wyjątkowemu talentowi, który był wrodzonym darem natury a uposażał tak bogato nieboszczyka, że według wyrażenia mówcy: „był Żółkowski tem w sztuce dramatycznej, czem Molière i Fredro w literaturze dramatycznej“.

Niestety, największy z komików naszej epoki, zeszedł ze sceny i ze świata, nie uwieńczywszy swej artystycznej kariery ani jedną kreacją molierowską: a przecież zdawało się, że w nich dopiero byłby zabłysnął w całym blasku i w całej pełni swej scenicznej twórczości.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, Żółkowski nie grał nic z repertoaru klasycznej komedii Molière'a, ani próbował odtworzyć, poza Poloniuszem w „Hamlecie“, którejkolwiek z komicznych postaci Shakespeare'a.

Poloniusz zaś, jak na miarę i środki tak fenomenalnego talentu, należał jednak do tych bledych wyjątków w repertoarze artysty, który najmniejszą nawet rolę umiał podnieść do wysokości skończonej kreacji, a z tej jakoś tak mało wydobył i komizmu i charakterystycznych rysów.

Całe życie Żółkowskiego było szeregiem triumfów i owacy, ale śmierć dopiero dała pełny wyraz tej popularności, jakiej używał wśród najszerzych warstw społecznych.

Pogrzeb miał prawdziwie wspaniały. Za trumną postępował sześciokonny karawan, na którym złożono kilkadziesiąt wieńców od rodziny, kolegów, przyjaciół, wielbicieli, młodzieży i prassy.

Z autorów tylko jeden Jordan wywdzięczył się swemu przedstawicielowi „Słomianego człowieka“, inni poprzestali na napisaniu artykułów, któremi zapełniły się całe numery i całe szpalty dzienników i tygodników naszych.

Niezaprzeczenie scena warszawska poniosła wielką, niezastąpioną na razie stratę w komiku tej miary i tego stylu, co Żółkowski, ale za daleko posuwają się ci, którzy głośno twierdzą, że „skończyło się teraz ze sceną, skończyło się ze sztuką, niema po co i dla kogo chodzić do teatru“...

Uznanie dla wielkiego talentu i żal po jego stracie, nie uprawniają jeszcze do tej niesprawiedliwości względem reszty pozostałych artystów, pomiędzy którymi niema zapewne tak wyjątkowych, jak zmarły, talentów—jednak są zawsze jeszcze siły, które na najpierwszych scenach zagranicznych mogłyby poczesne zająć miejsce.

Żaden teatr zresztą nie może dziś świecić pojedynczymi gwiazdami, nie może opierać się na wyjątkach; w gruncie rzeczy trzeba dla miłości prawdy to stwierdzić, że i ta nasza scena warszawska, bardzo wiele w ostatnich czasach zawdzięczała takiemu rzadkiemu wyjątkowi, jak Żółkowski, ale nie utrzymywała się jedynie na tym jednym filarze, po którego usunięciu, runąć by jej już tylko pozostawało.

Przypomnijmy sobie, że wiele, nawet bardzo wiele sztuk ostatniego repertoaru miało duże powodzenie, zdobywało dużo oklasków publiczności i sporo pochwał krytyki, chociaż grane były bez udziału Żółkowskiego.

Nie trzeba przeto wpaść w krańcowy pesymizm i wygłaszać tak smutnych, więcej powiem: tak nieobywatelskich, przepowiedni co do dalszych losów sceny i sztuki dramatycznej u nas.

Teatr jest instytucją, nieprzywiązaną do losów jednostki; ma on inne podstawy, inne cele, niż służyć jedynie za arenę do popisu wyjątkowym, choćby genialnym, artystom.

My lubujemy się w krańcowościach, a zwłaszcza w sferze uczuć i wrażliwości przygodnej; zasada *aut Caesar aut nihil* bywa u nas w krytyce i w sądach ogółu bardzo często nadużywana i dla niej zapoznajemy niesprawiedliwie i niesłusznie wszystko to, co musi się mieścić pośrodku między *maximum* i *minimum*.

Geniusze nie rodzą się nigdzie, w żadnej dziedzinie, jak grzyby po deszczu; spadają tylko niekiedy, przypadkowo, niespodzianie, jak meteory na ziemię.

Wyhodować ich nie można, przyjścia ich przepowiedzieć i obliczyć niepodobna, zaręczyć nie sposób, że miejsca jednego nie zajmie jutro drugi,—taksamo jak nie da się z wszelką pewnością twierdzić, że w ciągu całego stulecia żaden się już nie ukaze.

Załować tedy i ubolewać trzeba, ale rozpaczać w jereimiadach beznadziejnych nie należy, chyba narażając się umyślnie na zarzut przesady patetycznej.

Od dobrej woli i ambicyi naszych artystów, od ruchliwości i staranności reżysseryi, od rozumnej gospodarki i poparcia dyrekcji zależeć będzie, aby ten ubytek tak znakomitej siły nie zachwiał podstaw sceny i poziomu jej nie zniżył, a publiczność powinna obowiązkowo dawać jej materialne poparcie i moralną zachętę, jeżeli chce mieć swoją scenę, a na tej scenie doczekać się znowu Żółkowskich, Królikowskich, Rychterów, Panczykowskich, Halpertowych, Palińskich, Bakalowiczowych, Popioliów i Modrzejewskich.

Trzeba to dobrze rozumieć i nie poświęcać dla frazesu istoty rzeczy.

Wspominajmy zatem z całą czcią i uznaniem wielkie talenta przeszłości, ale nie lekceważmy dla nich terażniejszości i miejmy przyszłość na oku i sercu.

A przedewszystkiem nie powtarzajmy za kilku... entuzjastami:

— Odtąd przestajemy chodzić do teatru, skończyło się z warszawską sceną.

Żółkowskiemu mają postawić pomnik w foyerze przebudowanego teatru Wielkiego; sądzą, że przedewszystkiem powinien się tam znaleźć pomnik dla twórcy polskiego teatru, Wojciecha Bogusławskiego, a dokola niego należałoby ustawić biusty najznakomitszych artystów, którzy na scenie warszawskiej występowali.

Najpierwsze miejsce zająłby wtedy wśród nich biust Alojzego Żółkowskiego.

Z pomnikami, niestety, źle się wiedzie wogóle; oto znowu wychodzi na porządek dzienny kwestya nieszczęsnego pomnika Mickiewicza.

Korrespondent „Tygodnika ilustrowanego“ p. Dobrowolski uderzył na alarm, donosząc, że komitet pięciu podpisał wprawdzie z panem Teodorem Rygiernym rejentálną umowę o wykonanie pomnika według konkursowego jego projektu w ciągu lat trzech, ale przezornie pominął w umowie dokładniejsze oznaczenie miejsca, na którym ostatecznie pomnik ten ma stanąć. Z tego i z innych danych trzeba wnioskować, że kwestya miejsca dotąd nie została ostatecznie rozstrzygniętą i że komitet pięciu przygotowuje jakieś *coup d'état*, aby w danej chwili pójść za radą mniejszości i pomnik postawić nie na rynku krakowskim, lecz na innym jakim ustronnym placu.

Korrespondent „Tygodnika“ przewiduje w tym względzie jakieś złe zamiary dyktatorskiej piątki i ostrzega zawczasu przed ewentualnym nadużyciem wbrew wyrażonej opinii publicznej.

Czyżby znowu weszcząc się miały tesame swary, tesame polemiki w żywym i pisanym słowie, tesame protesty i utarczki, które gorszący przykład dawały w zeszłym roku?..

Czyżby komitet pięciu poważał się nadużyć swego mandatu i przyjął na siebie odpowiedzialność za decyzją, sprzeciwiającą się większości tego ogółu, który składał ofiary i wyraźnie za rynkiem krakowskim się oświadczył?..

Nie śmiem tego przypuszczać i mam nadzieję, że dla rychłego uspokojenia zaalarmowanej znów opinii, wkrótce wyczytamy w pismach naszych oświadczenie komitetu, iż pomnik Mickiewicza po wykończeniu go przez p. Rygierną, stanie w rynku i nigdzie indziej, tylko w rynku.

Przypuszczam, że sam krakowski correspondent „Tygodnika“ pragnie, aby alarm jego okazał się fałszywym alarmem.

To smutne, że nam tak trudno przychodzi zrobić coś dobrego w zgodzie, jednomyślnie, bez oporu upiekich posłów, w rozumieniu celu i potrzeby każdej sprawy ogólniejszego znaczenia.

Od pomnika poety do spraw rzemieślniczych przejście trudne, ale mi je ułatwiła broszura, napisana nietylko z wyborną argumentacją, ale i z niemałymi zaletami stylu, zastosowanego do poziomu czytelników, dla których wydana została.

Tytuł jej: „Co się dzieje z Bazarą rzemieślniczym?..“

Napisał ją jakiś bezimienny „Zwolennik Bazaru“, ale trzeba mu przyznać, że się wziął do rzeczy sprytnie i z pewnym popularyzatorskim talentem.

Umie on właściwym językiem przemawiać do swoich czytelników.

Niezrażony niepowodzeniem, jakiego tu dobry i ze wszech miar pożyteczny projekt doznaje, pomimo poparcia prasy i agitacji światlejszych inicjatorów w sferze rzemieślniczej, autor broszury tłómaczy „na wyrozum“, jak to mówią: „łopatą w głowę“ wkłada właściwe pojęcia o znaczeniu, potrzebie i praktycznych korzyściach takiego spółkowego przedsiębiorstwa.

Wszystkiego razem potrzeba 10,000 rs. na założenie Bazaru; po usilnych staraniach nie złożono dotąd nawet trzeciej części sumy, chociaż pojedynczy udział wynosi tylko rs. 25.

Na liście fundatorów, autor nie znalazł ludzi szeroko u nas znanych i ze swej fortuny, i ze swego stanowiska, i ze swych zacnych obywatelskich chęci.

Plotek tam kupa cała, grubszej ryby bardzo niewiele.

Autor bardzo dowcipnie odpiera wszystkie zarzuty, jakie Bazarowi stawiano i rozumuje zdrowo, prawdziwie „chłopskim rozumem“, który powinien trafić do przekonania najtwardszej głowy.

Między innymi powiada ze swadą sobie właściwą:

„Upadły spółki krawieckie, szewckie i inne przed laty kilkunastu, to i Bazar upadnie, gdyż u nas spółki się nie udają. To androny poprostu! Kiedy w tysiąc ósmset czterdziestym którymś roku zaprowadzono w Warszawie pierwsze omnibusy—upadły;—nie było ludzi, którzyby chcieli nimi jeździć. A dziś co? Mamy kilkanaście linii tramwajów, a i kanarki jeszcze kursują na Pragę.

Więc gdyby ktoś, opierający się na tem, że pierwsza próba z omnibusami wypadła nieświetnie, nie zaryzykował następnie na omnibusy, tobyśmy do dziś dnia tramwajów nie mieli. Tak samo ze spółkami“...

W ten sposób przemawia „zwolennik Bazaru“, wyrażając nadzieję, że w tej Warszawie, w której znajduje się tysiące rzemieślników i setki fabrykantów, musi się w końcu znaleźć czterystu ludzi, którzy zaryzykują we własnym, czystym jak szkło, a jasnym jak słońce, interesie pers. 25.

„Możemy się dość długo wahać, powiada—możemy krytykę wykazywać nasz rozum i przezorność, możemy się krzywić na to i na owo, ależ do licha! jeżeli zrozumiemy, że przez nasze ociąganie się gruchnąć ma projekt użyteczny i uczciwy, jeżeli się zastanowimy, że przez nasz upór i sobkowstwo psujemy rzecz dobrą i obywatelską, toć w końcu i w nas się odezwie poczucie obowiązku, i w nas zadrga szlachetna ambicya czynu, zacna chęć zapamięć nad lekceważeniem, obojętnością i urazą“.

Przypuszczam, że ten sposób agitacya trafi do celu i broszura zjedna Bazarowi więcej gorliwych i przekonanych zwolenników, aniżeli dotychczas udało się ich zdobyć dziennikarską zachętą.

Gdyby można taką broszurę przenieść na fonograf i chodzić z nim, niby z katarynką po warsztatach, fabrykach, sklepach i kantorach, agitacya byłaby jeszcze łatwiejszą; ludziska chętniejby słuchali żywej książki, aniżeli czytać będą drukowaną.

Wszystko, co ma najoddalniejszy związek z muzyką liczyć bowiem może u nas na powodzenie, zaczawszy od katarynek aż do serbskiej „bandurycy“, która daje obecnie koncerty na swoich oryginalnych instrumentach o stalowych strunach w Dolinie Szwajcarskiej.

Ta brzdąkająca orkiestra z Białogrodu w malowniczych swoich kostymach sprawia oryginalne wrażenie; na wystawie paryskiej zwracała powszechną uwagę, a oile się wnioskować daje z pierwszych jej popisów w Warszawie, będzie i tu miała powodzenie.

Nowość każda wabi i pociąga, a takich grajków nie widzieliśmy tu jeszcze i nie słyszeli, chociaż mieliśmy rozmaite orkiestry od czasów hiszpańskiej *estu liantyny* aż do najprawdziwszych cyganów. Świat nasz muzyczny powitał grzmiąciami oklaskami na koncertowej estradzie p. Marcelle Sembrich-Kochańską-Stengel, która przybyła do Warszawy, aby olśnić nas swoim przepięknym głosem, świetną techniką, przepyszną toaletą i cudownymi klejnotami.

Europejska primadonna znajduje się dziś u szczytu swojej sławy, w rozkwicie sił, wdzięków i talentu; śpiewa, jak gdyby miała zaczarowany flet w gardle, tony czyste jak złoto wylatują z jej ust i... i z szelestem banknotów wpadają do kieszeni znakomitej artystki.

Instytut Muzyczny uczcił jubileusz Rubinsteina koncertem, w którym przyjmowali udział tylko uczniowie, uczennice i profesorowie konserwatorium.

Programat składał się z samych utworów jubilatki, z wyjątkiem kompozycji orkiestrowych, a publiczność—z zaproszonych gości, zapelniających salę Resursy Obywatelskiej.

Barcewicz grał na skrzypcach, p. Alojz na wiolonczeli, p. Wąsowska na fortepianie; — trzy gwiazdy, które instytut ma prawo się chlubić.

Reszta wykonawców dostrajała się dobrze do tego tercetu.

Jesteśmy tedy w pełnym sezonie koncertowym, któremu nie brak już i charakterystycznego tła całkowitej zimy od kilku dni.

Obfite śniegi narzuciły biały kożuch na ziemię, po ulicach mkną sanki, wkrótce ze szlichtadą rywalizować zaczną ślizgawki i zabawy na lodzie, moc rautów, wieczorków, zebrani towarzyskich splata i rozplataje po salonach wszelakie żywioły naszego *beaumont'u*, i jakoś to życie idzie po grudach...

Na półkach księgarskich wyrastają nowości przedgwiazdkowe, coraz to jakaś nowa książka wychodzi spod zasapanej prasy drukarskiej i wabi swoim wyglądem lub tytułem czytelników.

Firma p. Paprockiego i Sp. rzetelnie zasługuje na nazwę „ruchliwej“, ciągle pomnaża swój wy-

dawniczy katalog, ciągle wypuszcza w świat nowe dzieła z dobrego wyboru.

Oto np. rozpoczęła poważne wydawnictwo „Zasad filozofii“, na podstawie historycznej, opatrzonej tematami rozpraw przez prof. Emila Boirac, w przekładzie Adolfa Dygasińskiego, który niejedną już zasługę położył w przyswojenie nam dzieł pożytecznych i nauczających z obcej literatury.

Nadto nakładem tej samej firmy wyszły nader zajmujące „Szkice psychologiczne“ J. Wł. Dawida, w których przedmiot i opracowaniu budzą zajęcie każdego oświeczonego umysłu; są tu rozprawy o psychogenezie, o poddawaniu uczuć, o drugorzędnych źródłach miłości, o rozkosz cierpienia, o snach i ich tłumaczeniu, o tworzeniu się pojęć i t. d.

D. L. Wolberg przetłumaczył popularnie a zajmująco napisaną książkę słynnego medyka i uczonego Mantegazzy p. t. „Sztuka długiego życia“, której autor wyraża przekonanie, że czasem na racjonalnych podstawach higieny, na właściwym doborze stadał małżeńskich przy należytem wychowaniu będziemy mogli rozwiązać zagadkę makrobiotyki i żyć do lat stu, albo i stu pięćdziesięciu. Z treścią jej zaznajomił już *Bluszcz* swych czytelników.

Stara i doświadczona firma Gebethnera i Wolffa, przygotowuje cały szereg nowości gwiazdkowych dla dorosłych i dzieci; tymczasem wydała „Dwie księgi Hipokratesa“ w tłumaczeniu dr. Łuczkiwicza, o powietrzu, wodzie i okolicach, tudzież o lecznictwie pierwotnym. Dwaściecia dwa stulecia stwierdziły ważność i znaczenie odkryć i wywodów genialnego mistrza. z wyspy Kos dla lecznictwa i nauki w ogólności.

Znany księgarz p. Maurycy Orgelbrand i dzielnego popularyzator dr. Józef Starkman podjęli duże i dobrze się zapowiadające wydawnictwo popularnej „Encyklopedyi medycyny i higieny“ dla szerszych kół czytelników z ilustracjami, podług głośnego dzieła dr. Pawła Bonami.

Zadaniem jej będzie zapoznać czytelnika w jak najprzystępniejszy sposób z medycyną według ostatnich postępów nauki; ma to być podręcznik, który nie zastąpi lekarza, ale poda sposoby życia higienicznego i porady w nagłych przypadkach w nieobecności doktora.

Z literatury pięknej pokrótce tylko wspomnieć mogę o ukazaniu się pierwszego tomu dzieł Heinego popolsku, wydawanych przez spółkę nakładową; zawiera on wybór poezyi, przeważnie w tłumaczeniu p. Alexandra Kraushara.

Belletrystyka nasza zyskała nową powieść historyczną, imponującą zarówno rozmiarami, jak spożytkowaną w niej erudycją autorki, której talent nie potrzebuje osobnego zalecenia, bo ma już swoją zaszczytną kartę w historii literatury polskiej.

Mówię o Deotymie i jej trzytomowym dziele najnowszym p. t.: „Branki w jasyrze“, które jako odbitka z „Kłosów“ ukazały się w handlu księgarskim.

Jest to powieść oparta na bardzo głębokich i sumiennych studyach dziejowych, z połowy w. XIII-go. pełna malowniczych scen, dramatycznych motywów, ciekawych szczegółów, charakterystyki ówczesnych ludzi, miejsc, zwyczajów, życia i stosunków.

Trzeba było dużego talentu i bardzo mozolnej pracy, aby takie dzieło podjąć i udźwignąć.

Ołówek Andriollego ilustruje powieść Deotymy, o której obowiązkiem jest napisać poważny rozbiór, aby oddać sprawiedliwość autorce i jej dziełu.

Zrobi to nasza krytyka, ale tymczasem trzeba zasiąść do czytania...

Czyściej i zdrowiej oddycha się w atmosferze tych „Branek“.

Quis.

Po przeczytaniu dzieł Gabryeli.

Nie zasłużyłem sobie u Boga,
Bym w tej komnacie wysokiej, białej
Zasiadał przy was, choćby u proga,
Tam, gdzie owego kominka blaski
Ścianom ogniste pasma rzuciły,
A myślom bożej promienie łąski.
Nie byłem nigdy w komnacie białej,
Tam, gdzie dusz waszych gorące tchnienia
W jedno ognisko myśli zlewały
I z serc krzeswały iskry zapału,
Co prawd przyszłości niósł objawienia
I w niedościgły kraj ideału
Wiódł was po walnym ze światem boju.

Choć ogień zagaśł w białym pokoju,
Jednakże trwały zostawił szczątek:
Węgiel zmieniony w cudne dyamenty,
W „Poganki dzieje“, w „Książkę paniątek“
Choć Znicza ogień pogasł już święty,
Z popiołów nieraz iskra wypadnie,
Piersi powłoką przejdzie lodową,
Gdy znajdzie resztkę ciepła aż na dnie
Serc w pół zamarych, wnet je nanowo
Dawnym zapału ogniem rozpali
I entuzjastek myśl idzie dalej,
By od późnego już pokolenia
Zażądać pragnień swych dopełnienia.

Nie zasłużyłem sobie u Boga,
By się z waszemi drogi zetknęła
Moja chybiona przez życie droga;
Nie zasłużyłem sobie u Boga,
By w wasze progi weszła ma noga.
Więc tylko wasze rozważam dzieła
I bicia waszych serc chwytam echa,
Przebrzmiałych słów się odgłosem pieszczę;
A kiedy w chwilach tęsknej żałoby
Te Niepoznanych przeliczam groby,
To w duszę z wiarą wchodzi pociecha,
Że są gdzieś światy, w których się jeszcze
Spotkamy pewno, bo z łaski Boga
Tam moja z waszą zetknie się droga.

I z tego, co tu po was zostało,
Co trwałym waszych dusz testamentem
Nam przekazane, zabieram śmiało
Cząstkę mojemu sercu przypadła,
I co w spuściznie tej wielkiem, świętem,
Co w mrokach wieku dla nas odgadło
Przecucie wasze, to chwytam chciwie,
Jak skarb w zoranej znalezion niwie;
On moim wiecznie, bo z łaski Boga
To po was moja spuścizna droga.

A może jeszcze gdzie inne grono,
Siadłszy dokoła ognia w kominku,
Wszczęwszy „podrzedną kwestyą“ nanowo,
Podejmie pracę niedokończoną
I zgadnie może zagadki słowo,
Co gnuśnych wstrząśnie w ich odpoczynku,
Pychą szyderców złych upokorzy,
A tych, co przeczą swemu duchowi,
Hołd fałszom wieku bijąc swem czołem,
Oświeci łaski przeblyskiem bożej,
Idei lepszej tchnieniem odnowi.
Wy, co siadacie przy ogniu społem,
Wołajcie na mnie, ja wam odpowiem
Z mych głębokości, żem gotów zawsze
Resztę dni moich rzucić węzłowiem
Lub choć podnóżkiem do tego dzieła,
Które ich zgasłych myśl rozpoczęła.

Bronisław Grabowski.

Zarobkowa praca kobiety.

Schylek XIX wieku wytworzył nieznaną przeszłości, a wśród społecznych zagadnień naszego czasu ważne miejsce zajmującą kwestyę pracy kobiecej. Kobieta, aż dotąd pracowała przeważnie w rodzinie i dla rodziny, więc praca ta, której znaczenie i ważność rozumieli wszyscy, nie występowała na forum jako przedmiot dyskusji. Miała ona swój szlak ubity, na którym dawała pracującej zadowolenie jej potrzeb, zapelniając jej życie, czyniąc istnienie jej mniej więcej użytecznym i szczęśliwym; lecz zmieniające się stosunki nowoczesnego życia wprowadziły rzecz na tory inne. Garstka tak zwanych emancypantek, nie liczy się tu wcale i na innem polu zagadnień moralnych rozprawiać się z niemi trzeba. Najczęściej też kobieta nie jest tu szczerą: wytwarza teorie, nie dla miłości zasady, ale dla użytku, które chce za nich czynić w życiu własnym, wyrządzając przez to szkodę wielką tym innym, które muszą dobijać się samotnie miejsca na świecie: prawa ognia i wody—prawa chleba, zarobionego pracą własną. Przecież obecnie społeczeństwo doszło już do rozpoznania i zrozumienia rzeczy, umie rozróżniać, i kobieta pracująca nietylko zajmuje odpowiednie jej miejsce w szacunku ludzkim, ale nawet budzi sympatyę, należącą się każdej odważnej, pod wiatr życia śmiało idącej istocie ludzkiej.

Dostrzegać się tu daje jeden jeszcze symptomat. Średniowieczny wstyd pracy dla zarobku, panujący w wyższych warstwach społecznych, usunął się zupełnie. Obok postępu idei przyczyniają się do tego i utrudnione warunki życia; przecież względnie do kwestyi zarobkowania kobiety wytworzyła się tu kwestya z kwestyi: jak i oile kobieta żyjąca w rodzinie pracować może poza rodziną bez szkody dla siebie i tych zobowiązań moralnych, które ciąży na niej? Że żona i matka tylko wobec potrzeb życia koniecznych oddawać się może pracy na zarobek — to już jest rzeczą przedyskutowaną. Rodzina w każdym składzie swoim daje dość zajęcia takiej kobiecie, która umie dobrze wejrzeć w obowiązki swoje i ten czas, który pracująca na zarobek rodzinie odejmuje, musi być — musi być nieodwołalnie, odkradziony jakiejś tej rodziny potrzebie. Nad siły nikt nie dźwignie, i jest wiele rozumne przysłowie francuzkie, że kto wiele obejmuje — źle ujmuje. Kobieta, na przykład, musi to liczyć do moralnych obowiązków w rodzinie, aby była miłą, słodką towarzyszką życia męża. Otóż zbyt spracowana w zawodowej pracy jakiejś, już tego dokonać nie może — nie może wytworzyć w domu swoim tej cieplej, łagodnie pokrzepiającej atmosfery, której mąż, znudzony pracą poza domem, potrzebuje, aby odetchnąć i odpocząć — pokrzepić siły nietylko ciała.

Obok tego i dziecko musi się tu chować niedobrze — musi być oddane opiece cudzej, i jest rzeczą dowiedzianą, że rodzina nie może być, ani należycie szczęśliwą, ani potrzebną tu wpływów dobroczynnych w całości nie otrzymuje, jeżeli nietylko mąż, ale i żona zajęta będzie poza domem. Brakuje wtedy u ogniska domowego, nietylko jej czujnego oka, jej zabiegów troskliwych o wygodę i dobrobyt rodzinny, ale ognisko to staje się wówczas jakimś rodzajem hotelu, czy ambulansu, gdzie ludzie przybywają jedynie na jakiś moment odpoczynku i leczenia dolegliwości, ze świata przyniesionych — rozciągania zmęczonych członków. Już tam wtedy niedostawać musi tej najdroższej rzeczy, która czyni kobietę wdzięczną pomocą w życiu męża i dla której Kochanowski nazywa ją koroną jego głowy — myśli całkowicie poświęconej temu mężowi i dziecku: myśli troskliwie zajętej ich dobrobytem, i to nie fizycznym tylko. Setki takich przykładów przytoczyć-by można, jak dobra żona stawia się heroicznie pomiędzy mężem a pokusami, zewnątrz bijącymi na niego. Czy przecież może to

być i wtedy, gdy sama w takiej, jak i on, pracy poza domowej, podobne jak on koleje przechodzić będzie, męcząc się i wyczerpując poza kołem najpierwszych i najwyższych — nietylko materialnych swych obowiązków?

Jeżeli przecież czyni to dla koniecznej potrzeby rodziny — jeżeli pracuje tak wespół z mężem na dach i chleb, to, westchnawszy, powiedziec sobie musi, że życie jej jest niełatwą do przebycia próbą. Ale jeżeli zarobkowa jej praca ma przysporzyć coś elegancyi i wytwornej wygody, zadowolnić próżność przez pozory nieposiadanego dostatku, to oderwanie matki i małżonki od domowego ogniska staje się błędem, staje się rzeczą grzeszną. U nas jeszcze jest takich wypadków niewiele, ale zaczyna się to już dźać: już niejedna żona i matka wstępuje na tę drogę, naśladowując Francuzkę, która przecież przedstawia najmniej pożądaną wzór życia kobiety. Pracowita jest wprawdzie i praktyczna, zręczna niezmiernie w czynnościach powszedniego życia, ale kobieta nasza ma inny: swój własny tor, tradycyjnie wytknięty, swój własny ideał — typ moralny, którego niech się trzyma w obyczaju rodzinnym.

Niech chowa sama dziecko, niech przestaje na najskromniejszym bycie, byle mogła wypełnić wszystkie te obowiązki, które są podstawą prawdziwego szczęścia, tak w chacie, jak i w pałacu.

Młoda panna, córka urodziców, niekrępowana powyższymi względami, zdaje się już posiadać całkowitą swobodę pracy, byle w kierunku odpowiednim, i tak zapewne pomyśli każdy, kto sądzi rzecz z wyłącznego stanowiska tej pracującej; ale żyjemy w czasach ciężkich i pracy nawet brakować zaczyna ludziom. Ta, która dla zyskania grosza na jakiś przyczynkę wytwornej elegancyi, na sprawienie sobie strojnego gałanka, cacka, które przystroi salon, stawia do konkurencji z robotnicą ubogą — grzeszy, grzeszy może bezwiednie, nie pomyślawszy, że ten grosz pozyskany, został odjęty innej, potrzebującej go na chleb dla ust głodnych. Wiem dowodnie, że tak jest — wiem, widziałam łzy płynące na blade lice z tego powodu. Robotnica, która musi obliczyć swój czas i ilość chleba spożytego przy pracy — wszystkie koszta, aż do światła lichej lampki, przy której pracuje w długie wieczory jesienne, robotnica taka nie może produkować tak tanio, jak ta szczęśliwa, dla której te wszystkie wydatki są niczem, a pieniądz pozyskany będzie obróconym na coś, przedstawiającego cukierek życia. Wprawdzie praca sama jest już przyjemnością dla tej pracującej, która leniwa być nie lubi, która bez prawdziwego zajęcia czułaby pustkę w życiu, ale niema na świecie istoty takiej, której otoczenie nie przedstawiałoby nic do czynienia, i oile jest rzeczą niesłuszną, a nawet powiem, mało godziwą, aby zamożna wydzieriała na rynkach zbytu zarobek ubogiej, ma ona prawo, a nawet obowiązek do wszelkiej możliwej pracy u ogniska rodzinnego. Tam niech jej praca nie dopuszcza wydatku, zmniejszającego zasoby rodzinne, tam niech wzorem dawnych matron naszych rozwija pracowite zdolności swoje, i przemysł domowy, tak bardzo dziś zaniedbany, niech odzyska dawne prawa. Wtedy pracowita stanie się bez niczyjej krzywdy zarabiająca, a przy dobrze prowadzonym rachunku przekona się, że i to pole jest owiele zyskowniejszego zarobku. Kobieta — to podskarbini chleba swego narodu, że niech tylko umie się wywiązywać ze swego zadania, niech tam, gdzie powinna pracować, chce i umie, niech tam zaprowadzi porządną i oszczędną gospodarność, nie pragnąc modnych zbytków, przez które handel i przemysł uboży rodziny: a zarobi sobie coś więcej jeszcze, niż pieniądze, mający się obrócić na drobne życia przyjemności. Umiały to dawne matrony nasze i praca domowa, domowe oszczędności, jakich wzór zostawiły po sobie — obywanie się bez wykintów zagranicznych, skromny tryb życia, kładącego nacisk na coś innego, niż elegancya wytworna: oto droga, na której dawna kobieta nasza zyskała sobie część u ludzi i dodziśnia przedstawia dla myśli wzór szlachetnej, podniosłej, rozumnej kobiecości.

— Praca jest ceną nałożoną przez Bogów na wszelką rzecz dobrą — powiedział jakiś mędrzec Starożytności i tak jest niezawodnie, ale człowiek

tem się różni od zwierząt, że umie przy pracy swojej myśleć, umie ją sobie wybierać, umie jej korzyści w życiu odpowiednio stosować. Praca zarobkowa kobiety w rodzinie, jeżeli nie jest bezpośrednio dla celów utrzymania tej rodziny łożoną i jako taka konieczną, jeżeli — powtarzam — poświęconą zostaje zarobkowi, który tylko do zwiększonego wykintu prowadzi, nie przynosi rodzinie pożytku żadnego, ale przeciwnie wyrządza jej szkodę. Zbytek a nawet dobrobyt wytworniejszy, jaki się tu wkładać przez to może, to ów kasztelan, którego Kochanowski w dom swój wpuścić nie chciał, aby mu jego prostoty nie skaził, skromnych nawyknień pożądaniami świetniejszego szyku nie zatruł. I tak powinien czynić każdy człowiek rozumny, każdy ojciec, każda matka rodziny. Człowiek łatwo się przyzwyczaja do wygódek, przysmaki psują mu gust do chleba powszedniego i to, co było dlań wczoraj dobrem i pożądanem, może się stać jutro rzeczą lichą, na którą z pogardą spogląda, i ztąd to tryb życia ściśle do środków posiadanych umierzony, jest pierwszą szczęścia podstawą.

— Ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swoim... powiedział mądrze tensam nasz poeta stary, który przecież niezawsze w swoim cichym Czarnolesie siedział i studiując we Włoszech, przedstawiających wtedy przez dwory swoich książąt, przez życie swoich patrycyuszów, najtworniejszy tryb istnienia, wiedział co to znaczy życie używanie.

Znał też i człowieka umiał się sam przed pokusami życia chronić i innym naukę tę po sobie zostawił. I praca może być niemoralną, jeżeli do moralnych celów nie zmierza; może być ubożącą, jeżeli oddana zbyt kłowi na posługę, tryb naszego skromnego istnienia zakłóci i zaszczerpi nawyknienu używania nad stan nasz, nad mienie posiadane, a najniemoralniejszą już jest wtedy, gdy ubiega się o zysk, który wydzieramy innym, potrzebniejszym od nas. Trudno jest przecież wykaazać ściśle, gdzie się kończy potrzeba, a gdzie zbytek zaczyna i tu powiedziec tylko można człowiekowi: — Sądź według Boga i sumienia!

Wśród namysłów nad zarobkową pracą kobiety nasuwa się przecież pytanie jedno jeszcze: czy praca ta nie zbyt koncentruje się w Warszawie, czy zawodowe szkoły, które ciągle się tu mnożą, uzdalniają kobietę do zajęć rzeczywiście chlebo-dajnych? Kilkanaście lat doświadczenia rzuca tu już światło pewne. Początkowo panował wśród usiłowań na tej drodze pewien duch brawury emancypacyjnej: rwano się do rozmaitych rzemiosł, z dumnym zapytaniem: dla czego-by kobieta nie mogła tu pracować, tak dobrze jak mężczyzna? Dla braku siły potrzebnej — odpowiedziała natura; szewstwo, introligatorstwo, naprzykład, należą do liczby takich przedsięwzięć chybiących, mimo pierwszych okazów, jakie praca kobieca wydała, bo co innego jest wykonanie pojedynczego przedmiotu, a co innego praca ciągła. Czas, to jest doświadczenie, wyrównało już obecnie te stosunki i trzeba powiedziec z żalem, że bardzo mało nowych dróg pracy otworzyło się kobiecie. Sztuka, stosowana do przemysłu: rzeźba, malowanie, mogłyby być w tym zakresie wdzięcznym polem pracy kobiecej tak, jak to ma miejsce we Francji szczególnie; ale wśród naszego niebogatego społeczeństwa i te gałęzie pracy nie przedstawiają nadziei pewnego zarobku na skalę szerszą, zwłaszcza, że nikt nie podjął się tutaj skoncentrowania pojedynczych usiłowań pracującej, i na stary sposób zwozi się to przeważnie z zagranicy, albo wyroby miejscowe obywają się bez artystycznego upiększenia.

Jest przecież wielki warsztat pracy ze zbytem zawsze pewnym: domowy przemysł wiejski. Ostatnia wystawa pracy kobiecej dała publiczności naszej poznać przez zbiorowe okazy p. Hubowej z Nowej Wsi (Powiat Grójecki) do jak pomyślnych rezultatów dojść można na tej drodze przy umiejętnej i dobrze pomyślanem skierowaniu gospodarczej pracy kobiecej. A ile-to rzemiosł i przedsięwzięć rozmaitych jednoczyć się może w tym obrębie działalności kobiecej! Oto, naprzykład, Nowa Wieś dostarcza Warszawie codziennie pieczywa zwanego „chlebem Grahama“, lub „chlebem zdrowia“ i na każdym, wybornie

wypieczonym, odpowiednią miarę i wagę trzymającym bocheneczku, widnieją kartka drukowana, będąca marką jego handlową, z napisem „Nowa Wieś“.

Wielkie partje jaj i trzody chlewnej, idące od nas do Niemiec, wykazują też, że kraj ciągnie znaczne zyski z tych gałęzi wiejskiego gospodarstwa kobiety, która przecież powinna teraz pilnować się bardzo troskliwie, aby trakt handlowy nie zwrócił się w stronę inną, jak nam to grozić zaczyna. Dobroć i umiarkowana cena towaru wyrokuję o tem.

Czy zakłady poświęcone specjalnie rozmaitym gałęziom takiej pracy kobiecej — małe folwarczki z najskromniejszym zabudowaniem drewnianem, nie mogłyby się stać miejscem i zyskownym polem pracy kobiecej w tym kierunku, zwłaszcza dla osób urodzonych i wychowanych na wsi, a które obecnie garną się do miasta w celach poszukiwania pracy, przyczem przechodzić muszą nieraz przez próby bardzo ciężkie, a nierazdko spotykają się i z zawodem okrutnym nadziei swoich? Kobieta rozumna, miłością społeczeństwa swego przejęta, dziś już tylko we wspomnieniu między nami żyjąca, s. p. Maryja Julia Zaleska, myśl podobną podniosła w książce pod tytułem: „Dwie siostry“. Tam przecież była to praca w rodzinie — praca kobiety we dworze, ale niemniej i samotna, dzierżawiąca jakiś kawałek gruntu, sad i chatę, mogłaby podobny warsztat pracy sobie urządzić. Naprzykład: dzierżawienie mleka tam, gdzie dwór krowy w pacht wypuszcza, czy to nie przedsięwzięcie wybornie przypadające na dział pracy kobiecej? Podobnie i dzierżawienie sadów, połączone z domową fabryczką przetworów owocowych, czy to wszystko nie mogłoby się stać przemysłem kobiety — zarobkową jej pracą, mniej zawodną, niż wszelka inna i nienarażającą jej na trudy, na próby ciężkie, jakie wiem, że teraz w mieście przechodzi i przechodzić musi? — „Trzymajcie się ziemi, bo to łono matki, której pierś jest wiecznie karmiąca!“ — woła Michelet i ja to powtarzam za nim, dodając: — Trzymajcie się stron rodzinnych, — kątów starych, choćby mieszcząc się pod strzechą słomianą, choćby zrzucając ze siebie całkowicie szatę pańską. Jeszcze i tak nie źle być może, jeszcze i tak lepiej, niż gdzieindziej.

M. Ilnicka.

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd — Kępieński.

(Dalszy ciąg.)

— A jakże tam zdrów? i wesół zawsze? — powiedz mi mój stary, — znękanym głosem mówił przybyły, pozwalając ze siebie zdejmnować niedźwiadki.

— Z łaski Boga niema się co skarżyć, humor też niczego.

— Chodźmyż więc do niego, mnie bowiem przecie nie będziesz meldował.

W tej chwili otwarły się od pokoju drzwi a w nich stanął wytwornie pofrancuzku ubrany mężczyzna wysokiego wzrostu i kształtnej kibici, o twarzy młodej, gładko wygolonej, której piękne rysy i duże, czarne ogniste oczy dziwnie przypominały twarz adjutanta króla jegomości. Był to w istocie brat jego młodszy Stanisław Wielowiejski, szambelan pod tę porę króla Stanisława Augusta.

— A bywajże mi, bywaj, ukochany bracie, — z niekłamanem uniesieniem radości zawołał gospodarz, rzucając się w ramiona podróznego, któ-

rym nie był kto inny, nam jeno znajomy pułkownik Zborczyce.

— Łukasz, dwa nakrycia! Pan pułkownik głodny, — rzekł szambelan do służącego, wprowadzając swego gościa do wykwiłtnie urządzonego apartamentu, gdzie obaj usiedli odrazu do poufalej, braterskiej rozmowy.

— Więc mój pułkownik, wszystko zrobiłem, coś mi kazał w liście, — rzekł pan Stanisław, przypatrując się znękanej twarzy swego rodzonego, — król był *jurioso* i poswojemu *incessanter* ¹²⁾ chciał ci dać dymmissyą a później, jako buntownika, chciał cię oddać pod sąd.

— Aż do tego doszło? — obojętnie zapytał pułkownik — i o cóż się tak rozsierzdziła jego mość królewska?

— Zbrodnia twoja w tem, że ty, adjutant królewski, pułkownik w pułku buławy hetmańskiej, ośmieliłeś się dawać schronienie związkowym w swym domu w Zborzycach.

— Może się król jegomość uspokoić teraz: z tego domu dzisiaj tylko ruiny i zgłiszczca.

— Mówiłem mu o tem, mówiłem o tych biedakach, częścią zabitych, częścią uwięzionych. I dziwna rzecz, nie dobieierałem słów, nie ubarwiałem w niczem przedmiotu, odczytałem tylko ustęp z twego listu, opis tej strasznej ruiny i cierpień nieszczęśliwych więźniów: a już zupełnie inaczej król poczynił ze mną. „Biedna nieszczęśliwa ziemio, — rzekł, jakby wzruszony do głębi — ileż już krwi i nieszczęść wchłonęłaś w swe wnętrze?“ i w tym sensie począł długo jeszcze rozwoździć swe żale, aż w końcu zmiękł do tego stopnia, że cię obiecał przywrócić do łaski i puścić w niepamięć twe rzekome zbrodnie. Pan to dobry, czuły i nad wyraz zmienny, więc zaraz począł myśleć: jakby wynagrodzić straty, jakich przez omyłkę tylko podobno narobiła dragonia Jordana; ten bowiem, dając rozkaz tropienia związkowych w kierunku Wieliczki, wyraźnie nakazywał ominąć Zborzyce. Nieznajomość okolicy, jakieś plotki wachmistrza o konfederatach tam się znajdujących, służbistość Gordona, miały być powodem, że oberstlejtant Lettow skierował atak na twoją siedzibę. Tak mówią raporty, tak się ekwizuje oberstlejtant Lettow przed swoim ojcem, starym generałem, który tu od dwóch miesięcy przebywa w Warszawie.

— I tak się oni będą ekwizować wszyscy — mówił z goryczą pułkownik, smutno też patrząc w ziemię, — a tymczasem dawny i wierny przyjaciel królewski nie ma gdzie głowy skłonić i na bruku miejskim goni za przytułkiem. Ale to wszystko niczem: Bóg dał, Bóg wziął, — niech się dzieje Jego święta wola. Wiesz sam, że nie po to przybyłem tu do was, aby rewindykować stratę ze szkatuły królewskiej. Chodzi mi o więźniów: o Jędrka Druźbica, o starego Ratułta, o tych wszystkich, co ich najniewinniej zabrano w Zborzycach, a już nasamprzód o mojego Jędrka, którego od dziecka chowałem przy sobie i ukochałem, jak własnego syna, a chyba nie na to, aby gnił w łańcuszkach w smrodliwym kałauzie. Czyś mówił o tem królowi, czy przedstawiłeś tę boleść ogromną, ten straszny niepokój, jakie targają mną całym, że nie jem, nie sypiam, oniczem trzęźwo pomysleć nie mogę, bo mi w oczach stoi ów piekielny obraz, kiedym zobaczył biedaków odartych, prawie nagich, skrwawionych i skutych, leżących na wozach?

— Biedna moja Róża omdlała kilka razy z bólu — mówił znękany pułkownik, pogrążony we wspomnieniach, jakby mu to przynosiło ulgę. — Po naszym do Krakowa przyjeździe na drugi dzień rano zasiedliśmy do kawy z siostrą Radziwińską, jak na nieszczęście, tuż obok okna, co dawało widok na rynek krakowski. Były jeszcze z nami: pułkownikówna Górecka i starościanka Dzierżkówna, po które dopiero miała przyjechać córka Jordana, podkomorzyna Bierzwińska, bo u niej miały tymczasem przebywać, zanim się coś z nimi później postanowi. Wszyscyśmy byli jacyś pomęczeni, niespokojni, smutni, jeno Ledu-

chowski młody ¹³⁾ baraszkował poswojemu, pułkownik z Radziwińską Joasią. Wtem w antykamerze usłyszałem hałas — przez drzwi otwarte wpada luzak Druźbica, Pietrek, w skrwawionej chuście na głowie, z twarzą poczerniałą od dymu i sadzy, ledwie się biedny na nogach ślaniając, tak był osłabiony wpływem posoki, zmęczony, odarty, a sam podziświecił nie wiem, jak się ten biedak wydarł napastnikom z ręki.

— Panie pułkowniku — drżący, przemówił za ledwie — straszne nieszczęście! w Zborzycach wszystko z ogniem. Mojego pana, pana Ratułta, pana Malczewskiego — prowadzą skutych na wozach; niedługo tu będą.

Oniemieli z przerażenia, staliśmy wszyscy, jak rażeni gromem; mnie się wydało, że się podemną ziemia rozstępuje, że się zapadam, że lecę w jakąś przepaść straszną. Padłem na krzesło nieprzytomny prawie. Długom tak przesiedział znicestwiał? — nie wiem; dopiero sygnał dragonii, dochodzący z rynku, wrócił mi przytomność. Spojrzeliśmy w okno: na rynku przed hauptwachtem, tłum ludu patrzył przed siebie przerażony, niemy, na oddział dragonii, co szedł w awangardzie, za nim oddział piechurów ciągnął, głucho bijąc w bębny. Nareszcie konnojechał Gordon, już pono pułkownikiem mianowany teraz, ów Gordon nieszczęsny, co już raz drugi stał się przyczyną mojego nieszczęścia: on-to pod Bolechówką usieknął mi Druźbica; on teraz (wprawdzie na rozkaz Lettowa), ale on zawsze, napadł na Zborzyce. Za nim ciągnęli gwardyacy, otaczając więźniów, siedzących na wozach, skrwawionych, odartych, skutych w łańcuszki, jak nędzni zbrodniarze. Na pierwszym siedział stary Ratułt, Zbrożek, Czarnecki i jakiś poroniony szlachcic, na drugim zaś, obok Malczewskiego, widzę, jak dzisiaj, poczciwego Jędrka z twarzą pogodną, choć bladą nad wyraz: dojrzał nas w oknie i podniósł ręce okute w łańcuszki, jakby na świadectwo, że nie może inaczej powitać się z nami. Róża moja omdlała, toż i starościanka, a ja sam już nie wiem, co się zemną działo, uczulem w piersiach i głowie, niby rozpalone kleszcze, co mię chwytaly, szarpiąc za mózg i za serce. Pamiętam tylko, jakem kazał Rózi, aby prosiła Jordana o ulgi jakie dla nieszczęsnych więźniów: pamiętam, jak dyktowałem list do ciebie, mój kochany Stasiu, chociaż jeżeli ten list miał trochę sensu i jaki związek myśli, to już w tem zaśluga starościanki Dzierżkówny, która go pisała. Od tego niezczęsnego widoku przeleżałem sześć całych tygodni, silne zapalenie mózgu zważyło mnie z nóg, a dzisiaj, kiedy przeszło, widzisz, jak wyglądam, chodzący kościotrup, zgorzkniały, zbity, niechętny do życia, włóczący się po świecie dlatego tylko, aby ludzi straszyc.

— Mój biedny bracie — odrzekł szambelan, patrząc na pułkownika z braterskim współczuciem — życie ludzkie, to nie przechadzka pomiędzy różami, to nie przybytek rozkoszy i spełnionych marzeń, ani kubek nektaru i misa ambrozji a zasię droga ciernista, koląca, gdzie ten szczęśliwym nazywać się może, kto najmniej w życiu na ciernie natrafił. Ale porzućmy frasunki, miejmy nadzieję, że się to wszystko na dobre odwróci, aczkolwiek nie taję, że król, teraz strasznie rozsierzdzion na konfederatów, o uwolnieniu więźniów mówić sobie nie da. Wždy *tentare licet*: mnie się nie udało. — „Surowy przykład być musi, — ciągle odpowiadał, kiedym go błagał w twojem i mojem imieniu, aby nam raczył wyświadczyć tę łaskę, — ja ich będę głaskał a oni będą ciągle warcholili: daję królewskie me słowo, że do uwolnienia konfederata ręki nie przyłożę“ — ciągnął rozsierzdzony dalej, tupiąc nogami ze złości i trzęsąc się cały. Mnie odprawił z niczem, ale ciebie lubi bardzo, tęskni za tobą, być więc łatwo może, że gdy cię zobaczy, tak wychudzonego, schorzałego, że już wyglądasz, jak istny Piotrowin, — nie będzie śmiał odmówić i uwolnienie podpisze. Jak to wiesz naj-

13) Niebawem po tych wypadkach nastąpił ślub między Joanną Radziwińską, córką Pauliny z Wielowiejskich i Antoniego Radziwińskiego, z Janem Leduchowskim, po-
stem później z Krakowskiego na sejm czteroletni.

lepiej, wszystko zależy od rannego wstania i od humoru, jaki wiatr przyniesie, a już moja w tem rzecz, żeby Eol dla nas zadmuchał korzystnie. Kiedyż chcesz, aby cię zameldować w kancelaryi króla?

— A choćby dzisiaj jeszcze, — im wcześniej, tem lepiej, zresztą czasu niema, zależy mi bardzo na pośpiechu, bo, jak mówił Jordan, mają wszystkich więźniów niedługo wywozić z Krakowa. Boją się spisku jakiegoś i pomocy zzewnątrz.

— Zatem jutro południową godziną, — czy goździsz się na to?

— Ale oczywiście.

— Więc zjedźmy obiad — kończył szambelan, powstając z kanapy, aby służącego wezwać, — po obiedzie odpoczniesz i wywczasujesz się z drogi, a ja pobiegnę na zamek i, nie mieszkając, z Węgierskim albo Turkułlem urządzimy wszystkie.

Tak się też i stało.

Nazajutrz na pokojach królewskich było zgromadzenie liczne, pełno było wszędzie zagranicznych dyplomatów, wojskowych, cudzoziemców w śnieżystych żabotach, w aksamitnych frakach, tu i owdzie pojawił się jakiś zadzierzysty sarmata w poważnym kontuszu, a wszyscy przechodzili się po woskowanej posadzce, szepejąc między sobą o wypadkach dziennych, o skandalikach buduarów warszawskich piękności, które wywoływały u jednych sarkastyczny uśmiech, u innych politowanie i rumieniec wzgardy. Wielowiejski w galowym mundurze pułkownika pułku konnego, buławy hetmańskiej, siedział milczący, niespokojnie zapatrzony w drzwi prowadzące do pokoju króla. Otwarły się niebawem, — przez tłum zgromadzonych przecisnął się do pułkownika szambelan Stanisław i, ścisnąwszy rękę, szepnął mu na ucho:

— Król bardzo pochmurny, ale chce cię widzieć niby *incognito*, więc za chwilę, wyniđż przez kurrytarz, gdzie cię czekać będę.

Blada twarz pułkownika zbladła jeszcze bardziej, zachwiał się na nogach pod wpływem wzruszenia, coś jakby wahanie, niepewność odbiło się na jego schorowanej twarzy, ale to trwało jedną tylko chwilę, jedną sekundę za ledwie, i znowu przybrał pułkownik na siebie uśmiech obojętny, a oczy czarne błysły mu energią i stanowczością działania. Za moment był już w gabinecie króla.

Stanisław August stał obok biurka założonego ołówkami, pędzlami i rysunkowym papierem, wyświeżony, strojny, ale, sądząc z pochmurnego czoła, ulubieniec fortuny był w kwaśnym humorze.

— Namyslałeś się *tandem*, panie pułkowniku — rzekł na powitanie król — aby po różnych niefortunnnych eskapadach na służbę powrócić?

— Ktoś źle uprzedził waszą królewską mość — odparł stanowczo pułkownik — ja nie na służbę przybyłem, ale, aby przedłożyć prośbę u podnóżka tronu mojego monarchy.

— Jakto? więc chcesz waść dalej korzystać z urlopu? nawet po tych tam w Krakowskim nieszczęsnych wypadkach? Dlaczegoż-to takiego wstępu nabrałeś do królewskiej służby?

— Najjaśniejszy Panie — skłoniwszy się, dumnie mówił Wielowiejski — zdawało mu się i zdaje, nie na swoim miejscu służyć przy boku monarchy, przeciwko któremu broń podniósł nieszczęśliwy naród.

Stanisław August zbladł pod warstwą różu, jakieś nerwowe drganie twarzy mu przebiegło, oczy błyskały gniewem wewnętrznie tłumionym.

— *C'est à dire* — rzekł — że pan adjutant łączy się dzisiaj z tym butnym narodem....

— Najjaśniejszy panie, charakter mojej służby na to nie pozwala, stałem się więc biernym obserwatorem wypadków... do pewnego czasu.

— To też idee twoje, pułkowniku, doszły naszych uszu. Dom twój, gdzieś tam na wsi pod Krakowem, stał się ogniskiem knozań i przytułkiem dla konfederatów. To bardzo ładnie, to cechuje szczególnie wierną służbę i jego uczucia dla monarchy, który mu dał tyle dowodów swojej przychylności!

— Za którą być wdzięcznym nigdy nie przestanę, Najjaśniejszy panie. Ale co do owych knozań, co do przytułku dla konfederatów, to są zupełnie mylne doniesienia. W bitwie pod Bole-

12) Ulubione i ciągle używane słowo ostatniego króla.

chówką, w której działała dragonia królewska pod generałem Lettowem przeciw oddziałom związkowych, padło dużo rannych, między nimi mój wychowanec, *alias* syn przybrany Jędrzej Druźbic, podstolic łomżyński a że pole bitwy było tuż w sąsiedztwie, zabrałem więc z Druźbicem kilkunastu rannych, którzy leżeli u mnie i mieli opiekę, jakiejby im nie odmówił żaden chrześcijanin. Czyż prosty chrześcijański uczynek może być nazwany zbrodnią polityczną? czyż miłosierdzie bliźniego ma się u nas w Polsce nazywać występkiem? a opatrzenie ran, pielęgnowanie w chorobie ma być koniecznym knowaniem lub spiskiem? Jeżeli tak, jeżeli to przyświadczysz, Najjaśniejszy panie, ha, w takim razie, adjutant królewski jest rzeczywiście zdrajcą i zbrodniarzem, ale w moim przekonaniu, w moim pojęciu, nie przestał on być wiernym poddanym swego monarchy, jak nie przestanie być nigdy uczciwym człowiekiem.

Śmiałe słowa pułkownika nie chybiły celu: pomiarkował się król, zmieknął jakoś i już łagodniejszym począł mówić tonem:

— *Tandem* tedy, mości pułkowniku, czegoż waćpan żadasz, powiedz mi otwarcie, czem ci służyć mogę, — bo w dowód naszej łaski winę a raczej uchybienie twoje z góry przebaczyłem, w tem rzeczy pojęciu, że tylko przez poczciwe serce uchybiłeś swoim powinnościom.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 21 Listopada, 1889 r.

Zamknięcie wystawy paryżkiej. — Publiczność dni ostatnich. — Wtorek i Środa (3 i 6 Listopada). — Chaos nocnego wyjścia z wystawy we Środę. — Wypadki. — Dzisiejsza fizjonomia wystawy. — Zaduszki. — Słaby kontyngens płaczących w tym roku. — Dodatkowe wybory w Październiku do Izby poselskiej we Francji. — Festyn tak zwany: „Anvers et Paris”. — Dyrekcyja „Figara”. — Zbiegowisko. — Dwudniówka. — Rezultat. — Wiele zmarli w Październiku. — Król Portugalski Dom Luiz de Bragança. — Osobiste wspomnienia o królu. — Emil Augier. — Otwarcie zimowego sezonu. — Dwa nowe dramata: „Walka o byt” Alf. Daudet’a i „Drwalowa” (*la Bûcheronne*) Chojeckiego (Charles Edmond).

Teraz można naprawdę zawołać, jak się to działo niegdyś na końcu każdej komedii włoskiej: *E finita la comedia*. We Środę, 6 Listopada w wieczór, po tak zwanem: zapłonieniu wieży Eiffela (*embrasement de la Tour Eiffel*), wystawa paryżka ostatecznie została zamkniętą, a burzliwa jesień straszliwą ulewą ostatnie jej zalała chwilę.

Ale cóż powiecie? Głupota ludzka dotrzymała placu! Ostatnie dni i godziny wystawy wywołały taki nawał ludzi, ciekawych czy głupich, że się zdawało, iż rozsada mury olbrzymich galerii. W tym natłoku kto rozpoznać potrafi rodzaj tych, którzy się zbiegli na to widowisko dogorywającej wystawy? Zkąd? z jakiego kraju? czy to Francuzi, czy cudzoziemcy? — Nikt tego nie zgadnie po stroju, jakby na jedną skrojonym miarę, ani po fizjonomii, bo tłum ten jednostajny, bezbarwny, i równie zacietrzewiony i głupi, walił przed siebie z tak bezmyślnym wyrazem twarzy — jaki charakteryzuje zwykle tłumy zwiedzające wystawy świata całego.

Już we Wtorek 5 Listopada, pomimo tak okropnej całodzienniej ulewy, że psa-by człowiek nie wypędził z domu, naliczono przeszło *sto pięćdziesiąt cztery tysiące* wejść płatnych na wystawę. Sto pięćdziesiąt cztery tysiące! przemokłych do nitki, brodzących po kostki w rozpuszczonem płynnem błocie, a mimo to, przy każdej furcie, cisnących się jak stado owiec — na to tylko, aby w zamglonych i zimnych galeriach wystawy błędzić bez myśli i celu. Bo i cóż mogli widzieć przy braku światła i słońca? Bóg tylko wie o tem.

A we Środę — w dzień ostatni? Był już prawdziwie sąd ostateczny! Wszystkie środki lokomocyi: tramwaje, omnibusy, powozy najdziwniejsze karykły, nieledwie że kałamaszki, tak zwane tutaj tapicyerki, fiakry nie-fiakry — słowem: wszystko, cokolwiek Paryż i jego okolice posiadają we względzie zaprzęgu, wszystko to zalane zostało tą ludzką, a raczej nieludzką, powodzią tłumów, które ze wszystkich kątów ogromnego miasta szukały sposobów, aby się dostać na wystawę! Ucho ludzkie nie słyszało, ni oko ludzkie nie widziało takiego chaosu i zagmatwania. Straszny tłum ludzi, lecący jakby w oblędzie, wrzeszczący w niebogłosość, we wszystkich narzeczach świata, zdobywający gwałtem powóz, jakiego bądź rodzaju, rzucający pieniądze i przekleństwa na wszystkie strony, wdzierający się przemocą do biur omnibusów i tramwajów — wszędzie bitwa, gwałt, natłok rozwścieczonego tłumu, który nie widzi i niczego i nikogo nie słucha — słowem: koniec świata!

Biedneż, biedne konisła! Same tylko godne politowania i żalu, od świtu do późnej nocy pracują w tem piekle.

Oprócz wozów i koni i statków na Sekwanie, po obu wybrzeżach, na wszystkich ulicach prowadzących do wystawy lub w jej kierunku, w zbitych szeregach, jakby wojsko jakie, idą mężczyźni, kobiety i dzieci — tak: dzieci, dzieci! Na miłość boską zobaczmy zaraz, jaki był koniec tej szalonej wyprawy, ale dzień cały przy każdym z kilkudziesięciu wejść na wystawę — długim ordynkiem ciągnęły się co chwila rosnące tłumy ludzi zziąpanych, zmęczonych tak, że pot ciurkiem lał się im z czoła.

Gdzie się to wszystko mogło pomieścić na tej wystawie? Jest to dotąd nierozwiązana zagadka. Dodajmy jeszcze, że ten tłum, walący na wystawę, nie z samego tylko wychodził Paryża. Pociągi tak zwane „przyjemności” (*trains de plaisir*) od przedświtu dnia tego, przybywały na dworce wszystkich pięciu wielkich kolei: Północnej, Lugduńskiej, Wschodniej, Zachodniej, i Mont-Parnassu, i zwoziły tysiące tysięcy ciekawych widowiska, — a ci wszyscy przybywali po większej części na dworzec centralny, znajdujący się już w obrębie samej wystawy.

To też około godziny trzeciej z południa zaczęło się już zatamowanie ruchu, o czwartej toczono już bójki przy wejściach, walcząc kułakiem o to, kto kogo usunie z drogi — a tu jeszcze ciągle i ciągle przybywali nowi pretendenci.

Trwała ta powódź do późnego wieczora, a trzeba pamiętać, że byli w tym tłumie ludzie, którzy, odrana nic w ustach nie mając, musieli stać i pilnować raz zajętego miejsca w ordynku. Około godziny 8-iej wieczorem, kiedy wreszcie nastąpiła chwila owego zapalenia się wieży Eiffela, widok tych tłumów wewnątrz wystawy był przerażający swym ogromem i ścisaniem. Wszyscy będący na służbie przy wystawie zgadzają się, że do tego potopu publiczności we Środę d. 6 Listopada należało *czterykroć sto tysięcy* istot ludzkich.

Nie mam tu co wspominać — że gazony, ogrody, ogrodzenia i t. p., wszystko to zostało zrównane z ziemią. Ale, że to był koniec wystawy, nikt więc na to nie zwracał uwagi; każdy sobie pomyślał, że bardzo szczęśliwie jeszcze, iż nie wywrócono samej wieży — jak mówił z uśmiechem Eiffel.

Powrót wśród nocy przypomniał ową straszliwą klęskę pod Berezyną! W jaki sposób i za pomocą jakich środków około 200.000 osób, które się znajdowały jeszcze we wnętrzu wystawy, w chwili jej ostatecznego zamknięcia, t. j.: około 11 godziny w nocy, mogły się dostać do miasta i do swoich mieszkań? Jest to dotychczas niepojętą rzeczą.

Wprawdzie, widząc tę nieprzejrzaną chmurę wozów i powozów wszelkiego rodzaju, które z wieczora zawały Aleje: Roppa, Bosqueta, Dela Bourdonnais’a, Suffren’a i t. d., można było sądzić, że tłum ten, znajdzie przecież dostateczny środek odpływu. Niestety! było to złudzenie! bo już od godziny 10-tej wieczorem, trzeba się było pożegnać z tym środkiem ratunku. Pomimo wszelkie usiłowania policyi, wszystkie te powozy i na wszystkich punktach stłoczyły się w jedną niesformą masę. Czepiając się, tłukąc,

najeżdżając jedne na drugie, bez żadnej uwagi na bezpieczeństwo własne i ludzi snujących się na wszystkie strony i usiłujących zdobyć sobie miejsce, choćby na półdrabku.

Jak się to rozwiązało? jak ta sieć spleciona powozów, koni i ludzi potrafiła się w końcu rozplątać? tego nikt nie zgadnie. Powiadają, że nad pijanymi i szalonymi Opatrzność czuwa — tak i tu chyba stać się musiało, bo żaden rozum ludzki nie mógłby w to inaczej ugodzić.

Co za szamotanie się, co za krzyk, co za bluźnierstwa, co za przekleństwa! tego żaden dykcyonarz nie spisze — nawet na wołowej skórze. Na wszystkich punktach wyjścia podwojono służbę, wszędzie użyto wszelkich możebnych środków, wszystkie omnibusy, tramwaje zapasowe były w ruchu: wszystkie przecież i wszystko oblegli i zalegli tłum, niecierpliwy, szalony, wrzeszczący, i wszystkie zapelnił w jednym okamgnieniu. Trwała ta bitwa do godziny 11-tej w nocy — i nawet, na odległych bulwarach — około Magdaleny naprzykład — dopiero około północy rozpoczął się ruch zwykły o tej porze nocy.

Widocznie, Opatrzność czuwała nad tem, bo co do wypadków skaleczenia albo utłuczenia osób, te były daleko mniej liczne, aniżeli można się było spodziewać. Jednakże o godzinie wpół do 9-tej we Środę, na samej wystawie odniesiono do infirmary 32 osoby, a w tej liczbie było siedmioro dzieci z połamanymi rączkami! Czy można sobie wystawić, takich rodziców, coby w taki dzień i wśród takiego tłumu prowadzili małe swe dzieci? To się nazywa cywilizacją...

Ale teraz — wszystko to już w przeszłość zapadło. *E finita la comedia*. Z tych wszystkich pałaców sterczących dumnie uciekło życie, ruch ustał i powoli niszcząca wszystko motyka rozpoczyna już swoją robotę, ruina nawet już teraz zaczyna pleść na wszystkie strony roztaczać. Równie jak się śpieszyli budować, śpieszą się dziś rozwałać. Dziwne to i przykre sprawia wrażenie. Wszelka ruina ma w sobie zawsze coś, co się skarży własną swą wymową, sobie tylko właściwą. Pomyśleć, że co było wspaniałym budynkiem dziś jest już nędznym tylko zlepkiem błota i ziemi! Gdy zdarto szaty przepyszne, cielesną powłokę — cóż zostało? Szkaradny szkielet.

Zdaje się, że zostaną nietknięte: pałac Sztuk Pięknych i jego galerye, równie jak pałac i galerye sztuk wyzwolonych i machin — i ogrody wewnętrzne na Polu Marsowem, ale, dzieło zniszczenia przeciągnie się zapewne do wiosny — i chyba dopiero w Kwietniu lub Maju przyszłego roku oskard i drag podboje swe ukończą.

Jakkolwiekby, nieciekawym i niezabawnym jest dziś widok, szczególnie na Placu Inwalidów, gdzie wszystkie zabudowania zostaną zniszczone. Odwiedzających przecież te ruiny nie brakuje — a nawet zarząd musi ścieśniać swobodę tych odwiedzin, które zawadzają w robotach niszczenia.

Z powodu zapewne tej wystawy i jej dni ostatnich, które przypadły na pierwsze dni Listopada, zaduszki tegoroczne mniej były obchodzone świetnie, niż zwykle. Przynajmniej pielgrzymka na cmentarze, co do liczby pielgrzymów, stała o wiele niżej niż w latach dawniejszych. Dowodzi to raz jeszcze, oile forma „przeważa tutaj nad gruntem uczucia i rzeczy”. Zwykle kładą, przez próżność zapewne, wielki bardzo nacisk na to niby głębokie uczucie szacunku dla zmarłych i zachowanie ich w wiernej zawsze pamięci: a oto dosyć było wielkiej wystawy, aby tę szanowną pamięć otumanić, porwać i uprowadzić — i od umarłych i od cmentarza — jakże daleko!

Zresztą nigdzie może na świecie zapomnienie tak nagle i szybko nie zasypuje śladów żyjących, roztargnioną ręką, jak tutaj. Cóż mówić o umarłych? Jest tu nawet osobna rubryka w dziennikach, dla tak zwanych „Znikniętych” (*disparus*). Są to zwykle ludzie, co przed dziesięciu lub dwudziestu laty używali sławy i powodzenia, zeszedli ze sceny, dobrowolnie lub z musu, i zniknęli z pamięci ludzkiej — aż przypominają o nich, jak o odkopanych kościach mamutów. Ale ponieważ jest zwyczajem na Zaduszki nieść kwiaty i wieńce na cmentarz, a więc idziemy na cmentarz!

W pierwszych dniach Października, oprócz wystawy, która stanowiła zawsze a *great attraction*,

dwie sprawy zajęły szczególnie uwagę Paryżanów: dodatkowe wybory do izby poselskiej i kiermaszowy festyn pod patronatem redakcyi *Figara* na rzecz pomocy dla ofiar strasznej katastrofy wybuchu fabryki nabożów w Antwerpii.

Wypadek głównych, powszechnych wyborów wrześniowych znany już w całej pełni—dał Francji, jakieś to mówili w ostatnim liście, większość republikańską. Wybory dodatkowe nie przedstawiały już szczególnej ważności, bo jakkolwiek byłby ich rezultat — nie mógł już odwrócić ustosunkowania się liczebnego stronnictw w przysłej Izbie. A więc ten *Scrutin de ballottage* odbył się w Niedzielę 6 Października spokojnie, nawet w Paryżu, gdzie pierwszy zapal, okazany we Wrześniu, wyczerpał całą energią wyborców. Teraz już z mniejszą fantazyą i furią szli oni do urn wyborczych.

Wiecie już zapewne z dzienników codziennych, jaki był wypadek tych wyborów—nie będę się więc tutaj nad nim rozwodził; uczynię tylko uwagę, że im dalej idziemy, tem większa oziębłość ogarnia massy głosujące—i że trzeba wielkiego jakiegoś wypadku, aby je można ożywić i zagrazić do nowej potężnej walki.

Co do sławnego festynu, zaimprovizowanego pod szumnym tytułem: „Paryż-Antwerpia“ przez sławnego golibrodę z ulicy Drouot, to, jako mieszczanina reklamy, dziennikarskich wybiegów i dobroczynności, zasługuje on na szczególną wzmiankę. Takie przedsięwzięcia i na taką skalę mogą się udawać jedynie tutaj—w Paryżu — i nigdzieindziej.

Przypuszczam, i nie mylę się zapewne, że wszyscy moi czytelnicy wiedzą już dostatecznie, o tej strasznej i olbrzymiej katastrofie, która tysiące ofiar zagrzebała w najokropniejszym wybuchu fabryki nabożów w Antwerpii. Litością niezmierną i głęboką wszystkie się zaraz cisnęły wobec tego nieszczęścia—wszystkie się ręce wyciągnęły, ku ofiarom tego wypadku: nie więc dziwnego, że *Figaro*, korzystając z wystawy i z wziętości jakiej używa u publiczności paryzkiej—postanowił urządzić festyn, z którego dochód poszedłby na ofiary wybuchu.

Rozumie się samo przez się, iż biorąc się do takiego przedsięwzięcia, należało się porozumieć z Radą Miejską Antwerpii, która sama tylko mogła być pośredniczką pomiędzy komitetem dobroczynności paryzkiej a ofiarami miasta, które przedstawia. Tu dopiero i od chwili zetknięcia się delegacyi „Figara“ z Radą miejską Antwerpii zaczyna się pewien rodzaj wirujących programatów, które nadały temu festynowi charakter tak wysokiej fantazyi, jakiej nie doścignął nigdy jeszcze nawet i sam pan golibroda.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— **Pamięci Chałubińskiego** poświęcił „Wszelki świat“ całkowicie numer swój ostatni. Złożyły

się nań pióra: prof. Jurkiewicza, Natansona, Kramsztyka i Witkiewicza.

— **Z oblicza Żółkowskiego** została zdjęta maska, dokonał tego rzeźbiarz Godecki; sфотографowano zmarłego dwukrotnie.

— **Utalentowany portrecista**, Horowitz, opuszcza Warszawę dla objęcia w rodzinnym swem mieście, Peszcie, urzędu dyrektora tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych.

— **Obraz Siemiradzkiego** „Z wiatykiem“ ma wkrótce przybyć do naszego miasta i być wystawionym w „Salonie Artystycznym“. Tłem obrazu jest malownicze miasteczko włoskie w Górach Sabińskich.

— **Album Matejki** w bardzo wytwornym i starannie dokonanem wydaniu, wyszło we Lwowie staraniem Wł. Bełzy.

— **Tanie wydanie** dzieł Krasieńskiego wyjdzie wkrótce w Krakowie.

— **Czterdziestolecie** pracy bibliotekarza Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, Karola Estreichera, obchodzono w dniu 24 Listopada. W południowej godzinie zebrało się w głównej sali Biblioteki grono złożone z deputatów krakowskich i lwowskich instytucji naukowych, oraz z osób umiających cenić zasługi jubilata. Wiemy, że lwowskie „Koło literacko-artystyczne“ wybiło na cześć jego medal srebrny i miedziany; otóż p. Albert Wilczyński na czele deputacyi „Koła“ wręczył najpierw jubilatowi medale, a następnie wyliczał naukowe tytuły jego do tej czci publicznej: prace na polu bibliografii i literatury naszej, poczynając od XVI wieku. Dalej rektor uniwersytetu krakowskiego, D-r Korczyński złożył hołd pracowitemu poświęceniu Estreichera dla nauki przez lat czterdzieści i dziękował deputacyi lwowskiej w imieniu uniwersytetu za uznanie tych jego zasług. Dalej nastąpiło wręczenie dyplomu ze strony lwowskiego „Koła literacko-artystycznego“ na honorowego członka „Koła“, oraz dyplomu na honorowego członka lwowskiej czytelni akademickiej, którą reprezentował delegat tejże, Danielak. W imieniu lwowskiej młodzieży księgarskiej przemawiał księgarz Gubrynowicz i złożył od tejże młodzieży adres. Wład. Bełza odczytał nakoniec wiersz Zacharyasiewicza. Estreicher dziękował ze wzruszeniem, dodając, że w zaszczycie, który go spotyka, widzi przedewszystkiem hołd, złożony nauce i pracy dla niej. Dary otrzymane przechowa jako drogocenną pamiątkę tej najsłodszej w życiu jego chwili i przekaże je w puściźnie dzieciom, aby wiedziały, że praca dla dobra ogółu zawsze przez ten ogół jest uznana. Wszyscy członkowie deputacyi wpisali nazwiska swoje do księgi pamiątkowej.

— **Tablica pamiątkowa**, poświęcona uczczeniu Pola, a wykonana przez rzeźbiarza Lewandowskiego z czerwonego marmuru, z bronzowem piersiem poety w pośrodku, wmurowana w ścianę kościoła Franciszkańskiego w Krakowie, została odsłonięta. Przemawiał przy tym akcie poświęcenia dla poety Paweł Popiel. Tablica jest umieszczoną naprzeciwko takiegoż pomnika Piotra Kochanowskiego.

— **Ścisły komitet** pomnika Adama Mickiewicza przyjął od rzeźbiarza, Teodora Rigera, model po-

sagu Mickiewicza i zawarł z artystą kontrakt, warujący, aby pomnik został wykonany w przeciągu lat czterech, przyczem wyznaczył 100.000 zł. reń. na kosztą wykonania. Publiczność krakowska zwiędza tłumnie pracownią artysty dla obejrzenia modelu. Rysy poety oddane są bardzo wiernie według dagerotypu zdjętego na kilkanaście lat przed śmiercią Mickiewicza. Twarz ma wyraz szlachetny o spojrzeniu spokojnym i poważnym, podobnie i układ cały postaci. Trzymanej w stylu klasycznym przy spływającej wdzięcznie draperyi płaszczka, który okrywa współczesny ubiór poety.

— **Ponowienie kongressu imienia Długosza** proponowanem jest we Lwowie. Pierwszy zjazd taki, odbył się w Krakowie już blisko dziesięć lat temu; od tego czasu metoda badania dziejów i w ogóle nauki historyczne zrobiły postęp wielki, zatem tamtejsze „Towarzystwo Historyczne“ postanowiło zwołać zjazd imienia Długosza do Lwowa na dzień 15 Lipca 1890 roku: poruczając wykonanie tej uchwały komitetowi zawiązanemu w tym celu. Przedmiotem obrad będą nauki historyczne w ogóle, przytem zadaniem zjazdu będzie zgromadzenie i ujęcie w jedną całość liczących zdobyczy nauk historycznych w ostatnich latach naszego stulecia we wszystkich językach i literaturach, oraz omówienie kwestyi wydawniczych. Osoby pragnące wziąć udział w zjeździe przez wygłoszenie odczytu z dziedziny nauk historycznych lub złożenie referatu w tym przedmiocie, powinny zgłosić się do Komitetu Zjazdu najpóźniej do d. 31 Grudnia, komunikując przedmiot odczytu lub referatu, a przed d. 31 Marca 1890 r. nadesłać referat, nieprzekraczający długością jednego arkusza druku.

— **Literatura Mickiewicza w języku niemieckim**, to tytuł świeżo wyszłej pracy Kurtzmanna, który pomieścił w tej broszurze spis wszystkiech przekładów Mickiewicza na język niemiecki, obok bibliografii wszystkiego, co w Niemczech pisano o poecie naszym.

— **Senat Paryzkiej Akademii Napisów** nie przyjął wyboru Mommsena na członka tejże instytucji, usprawiedliwiając odmowę swoją namiętnie wrogiem usposobieniem historyka niemieckiego względem Francji w czasie wojny francuzko-pruskiej. W miejsce odrzuconego wybranym został Ernest Curtius, autor dzieł o mytologii i dziejach Grecji.

— **Ustawa czeskiej Akademii Umiejętności** w Pradze otrzymała potrzebną sankcyą państwowego ministra oświecenia. Instytucja ta obowiązana jest utworzyć się i rozpocząć działalność swoją nie później, niż w rok od chwili przyjęcia ustawy.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI-WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

TREŚĆ: Aloizy Żółkowski (z drzeworytem).—Pogawędka.—Po przeczytaniu dzieł Gabryeli, (wiersz) przez Bronisława Grabowskiego Zarobkowa praca kobiety przez M. Ilnicką.—Adjutant króla jegomości opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kepieński. — Nowiny Paryzkie. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall. — Przegląd mód. — 25 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 22 Ноября 1889 года.